

Po zamachu na generała Solejmaniego. Co teraz?

8 stycznia 2020

Chusty, koszule, szaliki leciały w stronę platformy z trumnami zabitych w piątkowym amerykańskim zamachu bombowym, którego głównym celem był charyzmatyczny irański gen. Kasem Solejmani. Ta scena powtarzała się podczas uroczystości pogrzebowych w Iraku i w samym Iranie. W obu krajach zawieszonych dziś między płaczem a gniewem, jak na całym nieszczęsnym Bliskim Wschodzie, śmierć generała wywołała wstrząs, którego fala obiegła całą planetę pod postacią panicznych obaw przed „trzecią wojną światową”.



Gazeta.pl informowała swoich czytelników, że w uroczystościach w Teheranie wzięły udział „tysiące” osób. Dwa-trzy tysiące? Nie, to były dwa-trzy miliony, jak w Awhazie, Meszhedzie i innych miastach żegnających zabitych w bagdadzkim zamachu. Żałobnicy zjeżdżali się z regionów tych metropolii, jakby cały kraj chciał wziąć udział w pogrzebie. Tysiące rzucanych chust i koszul, jeśli dotarły do mężczyzn na platformie, wracały odrzucone w tłum po otarciu ich o trumnę generała, by stać się znakiem jedności, rodzajem relikwii po „męczenniku”, które mają wzmocnić pogrążonych w żałobie.

Jeśli porównać irański status społeczny gen. Solejmaniego do polskiej historii, byłby on skrzyżowaniem Kościuszki i Lelewela, z dodatkiem Piłsudskiego. Byłby uosobieniem hasła „za wolność naszą i waszą” skierowanym przeciw mocarstwom, które chcą kontrolować nie tylko Iran, ale i cały roponośny region. Rytualne slogany przeciw imperium amerykańskiemu i jego regionalnym sojusznikom – izraelskiemu reżimowi apartheidu i saudyjskiej tyranii – wykrzykiwane na pogrzebie, zostały w różnych formach powtórzone w Jemenie, Libanie,

Palestynie, Syrii i Iraku, lecz rozkazodawca zamachu Donald Trump musi czuć się pewnie: chodzi wszak o kraje skutecznie przetrącone kolonialnymi wojnami i okupacjami, które przysły z Zachodu.

Śmierć na zamówienie

Gen. Solejmani znalazł się na celowniku Izraelczyków w 2006 r., zaraz po kolejnej, zbrojnej napaści państwa żydowskiego na Liban. W regionie nazywają te wydarzenia „wojną 33-dniową”: Izraelczykom udało się wtedy zniszczyć prawie całą libańską infrastrukturę cywilną, jako tako odbudowaną po poprzednich wojnach, ale pierwszy raz zostali wypchnięci z kraju przez zjednoczone siły Hezbollahu (Partii Boga) i libańskiego wojska. Solejmani był już wtedy od sześciu lat szefem operacji zagranicznych Korpusu Strażników Rewolucji: to on nauczył wtedy Libańczyków, jak powstrzymać armię izraelską i odtąd datuje się jego renoma „geniusza wojskowego”, szczególnie specja od tzw. działań asymetrycznych, na które skazane są słabsze strony konfliktu.

Izraelczycy starali się więc go zabić, ale słynna skuteczność Mosadu doznała pewnej kompromitacji – nic z tego nie wychodziło. W końcu dwa lata temu zwrócili się do Amerykanów, by zrobili to swoimi środkami, lecz Trump wtedy odmówił zadowolając się pochwaleniem izraelskich zamiarów. Według Times of Israel, ostatnia izraelska próba miała miejsce trzy miesiące temu, kiedy agenci podłożyli pół tony trotylu pod podłogę miejsca, gdzie generał miał się pojawić, lecz się nie pojawił. Wysiłki izraelskiej skrajnej prawicy i amerykańskich neokonserwatystów, by Stany Zjednoczone zaryzykowały otwartą napad na Iran musiały poczekać na odpowiedni kontekst natury wyborczej.

Kłopoty bliźniaków

To, co najbardziej zdziwiło bliskowschodnich komentatorów, to fakt, że Amerykanie przyznali się do zamachu. Mogli działać „po izraelsku”, dyskretnie, czyli udawać, że to nie oni, co nie dałoby natychmiastowego pretekstu władzom irańskim do otwartego organizowania odwetu. Teoria iracko-irańska jakoby Trump wziął po prostu na siebie działanie izraelskie ma pewne podstawy, ale właściwie nie ma znaczenia. Obaj przywódcy – Netanjahu i Trump – są w podobnej sytuacji: mają na karku procesy w swoich krajach (karne w Izraelu, destytucja w Stanach) i widmo wyborów przed sobą. Są politycznymi bliźniakami: należą do skrajnej, nacjonalistycznej prawicy, dla której ewentualna wojna stanowi „pewną” szansę na przedłużenie władzy.

Ale nie da się zredukować czynu Trumpa/Netanjahu do chęci przykrycia swoich kłopotów w Kongresie czy Knesecie. Trump od początku kadencji deklarował, że nie chce wojny z Iranem (wbrew Netanjahu), gdyż uznawał, że może być wyborczo niebezpieczna, a jednocześnie robił wszystko, by doprowadzić na jej skraj, na wypadek, gdyby okazała się jednak użyteczna (w zgodzie z Netanjahu). Dlatego uległ izraelskim naciskom na wycofanie się z układu atomowego z Iranem, nałożył sankcje i wprowadził „politykę maksymalnego nacisku”. Zamach na Solejmaniego to przyznanie, że ta polityka poniosła porażkę, że prowokacja do ewentualnej wojny potrzebuje czegoś mocniejszego.

Drugie przyjście Jezusa

Sytuacja polityczna Trumpa w Stanach jest mocniejsza od politycznego losu Netanjahu w Izraelu. Zebrał już tyle pieniędzy na kampanię, że wszyscy Demokraci mogą się już schować i pozostała mu tylko dbałość o los Izraela, bo to zapewni mu głosy dziesiątek milionów wyznawców syjonizmu chrześcijańskiego. Od ponad 70 lat wierzą oni, że popieranie

Izraela przyśpieszy – poprzez „wielką wojnę Armageddon” – koniec obecnego świata i paruzję Jezusa Chrystusa. Ten super-twardy elektorat jest ważniejszy nawet od lokalnego lobby proizraelskiego, które zaczyna się mocno wahać, jeśli chodzi o los samego Netanjahu. Jednak polityczna alternatywa izraelska, tj, gen. Benny Gantz, tak samo popiera wojnę przeciw Iranowi, jak Netanjahu. Tu być może kryje się rozwiązanie zagadki przyznania się do zamachu. Trump zaczyna być pewien, że wygra wybory w obu przypadkach, mimo lub dzięki wojnie.

Solejmani był przydatny Amerykanom, kiedy zmienili priorytet wojny w Syrii, z obalenia tamtejszego rządu na walkę z dżihadystami, którzy mieli służyć temu obaleniu. Popierane wcześniej przez USA Państwo Islamskie (PI) stało się niebezpieczne szczególnie w Iraku, więc irackie, proirańskie oddziały Haszd asz-Szaabi (Siły Mobilizacji Ludowej lub Jednostki Pospolitego Ruszenia), którym patronował Solejmani, mogły wygrać wojnę przeciw PI przy wsparciu amerykańskiego lotnictwa i irackiej armii. W Syrii jednak elitarne, irańskie jednostki Solejmaniego zapędziły się za PI i Al-Kaidą aż pod izraelską granicę, podczas gdy Izrael wspierał przez nią dżihadystów (nawet leczył w swoich szpitalach), dla podtrzymania osłabiającego Syrię chaosu. Wcześniej, czy później, irański generał-strateg musiał więc zostać zlikwidowany, poniekąd w imię przyjścia Jezusa.

Zagadka K-1

Ostatni, gwałtowny zwrot polityczny zaczął się 27 grudnia 2019 r., kiedy nie wiadomo kto zabił, nie wiadomo kogo. Stało się to w amerykańskiej bazie wojskowej K-1 pod Kirkukiem na północy Iraku. Jacyś niezidentyfikowani sprawcy ostrzelali tę bazę i mieli zabić jednego, niespodziewanie anonimowego Amerykanina, określanego przez Pentagon jako „przedsiębiorca” lub „podwykonawca” (ale nie „cywil”), co oznacza prawdopodobnie najemnika którejś z amerykańskich, prywatnych spółek wojskowych, jeśli ów człowiek w ogóle istniał.

Tak, czy inaczej, następnego dnia do premiera Iraku Abd al-Mahdiego zadzwonił Mark Esper, sekretarz obrony USA, żeby go poinformować o decyzji zbombardowania „baz Haszd asz-Szaabi i Hezbollahu”. Premier poprosił Espera o spotkanie i odrzucił tę decyzję z powodu dwóch problemów: nie ma czegoś takiego jak „bazy Haszd asz-Szaabi”, gdyż jednostki te już kilka lat temu zostały wcielone do armii irackiej (pod nadzorem amerykańskim zresztą) i nie ma żadnego dowodu, by domniemanej śmierci Amerykanina było winne irackie wojsko, które nota bene stacjonuje razem z Amerykanami w K-1. Esper zwrócił uwagę, że nie dzwoni, by negocjować, a jedynie informować, i niecałe pół godziny później amerykańskie samoloty posiekały bombami irackie posterunki na pustynnej granicy z Syrią, ponad pół tysiąca kilometrów od K-1.

Iracki gniew

Wśród prawie setki zabitych i rannych żołnierzy irackich, dziewięciu miało na mundurach naszywki jednostki, w którą teoretycznie celowali Amerykanie. Strefę tę bombardowali już wcześniej Izraelczycy, przy okazji rutynowego bombardowania Syrii. Dla Amerykanów irackie pilnowanie granicy było zbyt szczelne, gdyż stanowiło przeszkodę w napływie byłych irackich dżihadystów, zatrudnianych przez nich do pomocy przy pilnowaniu syryjskich pól naftowych na wschodzie tego kraju, które Trump postanowił zatrzymać do dyspozycji Stanów Zjednoczonych.

Jak wiadomo, amerykańska jatka wywołała manifestację protestu pod ambasadą imperium w Bagdadzie, w czasie której nikomu włos z głowy nie spadł. Wybito z trudem dwie pancerne szyby, ale to wszystko. Zrealizowało się natomiast marzenie gen. Solejmaniego – iracka klasa polityczna w końcu zjednoczyła się przeciw Amerykanom. Projekt ustawy o wyrzuceniu obcych wojsk z Iraku powstał jeszcze przed zamachem na generała, gdy przebywał w Libanie. Gestykulacje Trumpa, w postaci gróźb nałożenia sankcji na Irak, czy masowego bombardowania Iranu,

przykrywają nagi fakt, że Stany Zjednoczone nie są w stanie utrzymać swych wpływów w Iraku, mimo zabicia setek tysięcy Irakijczyków, śmierci własnych żołnierzy i najemników, wydania bilionów dolarów, zachowania baz wojskowych i podległego im do niedawna rządu.

Co teraz?

Po zamachu na Solejmaniego wszyscy jakby wstrzymali oddech. W Europie wielu publicystom przypominał się zamach na austriackiego arcyksięcia, który uchodzi za przyczynę pierwszej wielkiej rzezi światowej: stąd nieco automatyczne obawy przed trzecią. Tercet USA-Izrael-Saudowie ma teraz przeciw sobie całą „oś ruchu oporu” (jak lubi się nazywać) w sześciu krajach Bliskiego Wschodu, nieporównanie od niego słabszych, jeśli odliczyć Iran, który ma jednak pewien potencjał obronny. Niektórzy oczekują riposty Iranu z dnia na dzień, choć Solejmaniego jeszcze nie pogrzebano. „Ruch oporu” musi najpierw zorientować się, kto i jak zdradził generała. Póki co, odpowiada groźbami na groźby Trumpa.

To, co się obecnie dzieje się złego na Bliskim Wschodzie ma głębokie korzenie historyczne: przeszłość kolonialną, gdy europejskie mocarstwa po I wojnie światowej rysowały granice podległych państw bez oglądania się na realności narodowo-wyznaniowe, a potem powstanie kolonialnego państwa Izrael, co skazało region na rodzaj wiecznej wojny. Napaści amerykańskie i zachodnie wzniesienie wahhabickiego dżihadyzmu przyczyniło się do dzieła zniszczenia, przeciw któremu walczył zabity generał. Dziesiątki tysięcy rodzin zawdzięczają mu ocalenie z tej ogólnej masakry, lecz nadchodzi jej nowy rozdział, który może zakrwawić chusty i koszule.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu